inż. Władysław Ludomir Sujkowski
w Sławkowie



ROZMOWA
DZIELNEGO MAĆKA Z TCHÓRZLIWYM WALKIEM

W a l e k — Hej Maciek!

M a c i e k — A co?

W a l e k — Słyszałem, żeś na głowę upadł. Ponoś się tam u tych legunów, co to werbują, zapisał do wojska.

M a c i e k — A juści, żem się zapisał. Ino, widzisz, jużem ja se tak wykalkulował, że to trza.

W a l e k — Trza? Jakby było trza, toby brali z musu. A tak ino na głupich polują.

M a c i e k — Pleciesz, Walek! Bo właśnie głupi nie pójdzie, bo się będzie bał, albo myślał, że go wojsko ominie. Z ochoty biorą teraz, żeby mieć co najlepszych.

W a l e k — Gadanie! A co im po najlepszych! Z karabinu się każdy strzelać nauczy.

M a c i e k — Trza najlepszych, żeby ich przysposobić i nauczyć odrazu. Wszystkich wezną, bo niema kraju, gdzieby nie brali. Ale najpierw tych, co z ochoty pójdą, trza wyćwiczyć, żeby inszych miał kto uczyć.

W a l e k — Ii! niby to legunów mało! Starczy ich na naukę.

M a c i e k — A ja ci powiadam, że nie starczy. Wiesz wiele Polska żołnierza wystawi?

W a l e k — No — niby nie wiem.

M a c i e k — Milion!

W a l e k — Gadaj zdrów!

M a c i e k — Sam porachuj. Do wojska może iść więcej, niż dziesiąta część ludności. Nas tu jest więcej, niż 15 milionów. Moskale zabrali tam coś—ale zawsze milion zostało. A wiesz ty wiele na taką armię oficerów potrzeba?

W a l e k — I! cobym miał wiedzieć!

M a c i e k — Dwadzieścia tysięcy najmniej! A podoficerów przeszło setkę tysięcy. Cóż tam gadać, że na to legunów starczy.

W a l e k — Widać, że naprawdę nie starczy.

M a c i e k — W tem właśnie sęk. Otóż trzeba tych podoficerów wykształcić. A kogo będą kształcić? Właśnie tych, co rozumiejąc to, pierwsi pójdą.

W a l e k — E, co tam! Mnie to zresztą nic nie obchodzi. Ja tam sobie żyję spokojnie. Poco mam głowę nastawiać.

M a c i e k — A bo ty codzień głowy nie nastawiasz?

W a l e k — Pewno, że nie.

M a c i e k — A właśnie, że nadstawiasz. Kąpiesz się w rzece—możesz utonąć. Pijesz wodę—możesz cholerę złapać. Czapkę w gorący dzień zdejmiesz—udar cię trafi. Boso na łąkę wyjdziesz—żmija cię ukąsi. A to mało ludzi codzień umiera choć i bez wojny. A i na wojnie więcej choroba niż kula powali. Co tam gadać—jak komu wypadnie zginąć—to zginie.

Walek — Pewno, że jak komu pisano — to zginie.

Maciek — Cóż więc gadać o nadstawianiu głowy.

Walek — Ba, ale we wojsku to się człowiek namęczy. Tam przecie nie zabawa. Ani się wyspać, ani zjeść nie dadzą.

Maciek — Pewno, że koszary nie hotel, a służba nie zabawa. Ale u kogo w domu nędza piszczy, temu i żołnierski wikt zasmakuje. Ale furda to wszystko! Przecie, do licha, trzeba coś dla gromady, dla Ojczyzny poświęcić.

Walek — A pocóż ja mam coś dla kogoś poświęcać?

Maciek — Otoś głupio rzekł—bo głupio—do gruntu. A niby, czy jest człowiek, co się nie poświęca?

Walek — Gdzie? Kiedy? Poco? Jam takich nie widział.

Maciek — Masz! pokażę ci: Ot Anna od ust sobie odejmuje, żeby dzieciska nakarmić. A przecież byłoby jej lżej, gdyby je wygnała. Cóż to nie poświęcenie się? Jan ojca starego też z chałupy nie goni. Widzisz? Każdy się poświęca i bez tego byłby za potwora uważany. Ciemny tylko nie zrozumie tego. A jak się coś poświęca dla Ojczyzny, to ty myślisz, że to tak darmo, tak w powietrze idzie. A kto będzie miał z tego korzyść? Ty, twoje dzieci, dzieci twojej siostry, twego brata.

Jak się kto dla Ojczyzny poświęca—to przecie to dla nas wszystkich czyni—bo Ojczyzna to my.

No! rozumiesz dlaczego do wojska idę.

Walek — Dyć rozumiem. A może i jabym się tam zapisał? Hę? Było nie było! Jazda! Pójdę i ja do wojska polskiego. Niech tam nie myślą, że ja tam najgorszy.

KOŁO PROPAGANDY
NA RZECZ WOJSKA POLSKIEGO

Warszawa. 28-II-1918r.